NUMER 13. LIPIEC 1911. ROK III.



NA ZIEMI NASZEJ

R. MĘKICKI 1911

DODATEK LITERACKO-NAUKOWY »KURJERA LWOWSKIEGO«
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

STARA WARSZAWA.

Sądząc z entuzjastycznych głosów prasy warszawskiej, zrobiła „Stara Warszawa“ na Warszawie dzisiejszej bardzo silne wrażenie. Wystawa starych zabytków i pamiątek warszawskich zgromadziła tyle cennych pod względem archeologicznym, artystycznym i kulturalnym przedmiotów, że sam jej ściśle i naukowo opracowany katalog stanowi dzieło wartościowe i trwałą pamiątkę po przedsięwzięciu, które dla lokalnej historji stolicy Polski posiada znaczenie dziejowego porachunku, a do skarbnicy dziejów kultury polskiej w ogóle wiele cennych i nieznanych dorzuciło szczegółów.

Czem była ta przed paru dniami zamknięta wystawa, czem był dla Warszawy ten drogi zbiór pamiątek — opowiada pięknie p. Wincenty Kosiakiewicz:

Wzrusza on i zadziwia. Ale zadziwia przedewszystkiem. Ci którym nie są obojętne stare mury, stare obrazy, stare drzewa, bronzy, skorupy, dość lekceważyli, na ogół biorąc, starożytności warszawskie. Nasza stolica była miastem nowej dość formacji. Nie mogła się ona wykazać tem szlachectwem, jakie daje przeżycie wielkich epok rozkwitu sztuki. Nie może się ona wylegitymować dokumentami, równie starożytnemi, jak miasta włoskie i francuskie, lub choćby południowo niemieckie. I ma bardzo „biedną minę“ wobec Krakowa, który zahypnotyzował polskich archeologów i zamagnetyzował polskie serca, wrażeń przeszłości złaknione.

Szły przez szlak historji wielkie epoki romanizmu, gotyku, renesansu, a Warszawa, z rybackiej osady na frankoński ogród handlowy się przekształcając, trzymała się na uboczu od ruchu tego, jak na uboczu stoi dziecko, gdy prowadzą rozmowę starsi.

Jest Warszawa wprawdzie przez czas jakiś *książęcą,* ale dopiero gdy staje się *królewską,* podnosi się w artystycznej godności i ściąga z zachodu architektów, malarzów, rzeźbiarzów i z pośpiechem przerabia się na ognisko twórcze i cywilizacyjne.

Jednak pośpiechu jest w tem za wiele, czy też gruntowności za mało. Przerabiano może zanadto radykalnie, co zastano. Dość, że wiek siedemnasty nie stworzył wiele w Warszawie, a i po osiemnastym zostało uroczego to tylko, na czem położył piętno dobrego smaku ostatni król polski, jeden z najwykwintniejszych kawalerów europejskich.

Utarło się więc przekonanie śród artystów, że *Warszawa nie jest ciekawa.* Ubóstwo artystyczne jej kościołów i jej pałaców jest powodem zawsze niemałego zażenowania, w jakiem stajemy wobec rzadkich cudzoziemców, przybyłych *Warszawę zwiedzić.* A kiedyśmy ich wyprowadzili z Łazienek, i pokazali im Stare miasto, — doprawdy, w obecnym stanie ani trochę nie urocze — nie wiemy dobrze, co ich więcej w naszem mieście zaciekawićby mogło?!

Otóż chodząc śród pamiątek Warszawy, nagromadzonych w salach ratuszowych doznaje się dziwnego wrażenia, że się w naszych sądach o archeologicznej wartości Warszawy myliliśmy, żeśmy za nią doznawali — wstydu fałszywego, — i że pewno potrzebaby nie wiele: ot, *normalnych warunków* pracy kulturalnej, choćby dopiero od dziś, od jutra datujących się, pozwalających nam na roboty restauracyjne i kolekcjonerskie, na zachowanie jednych pamiątek a zebranie w muzeach narodowych innych — abyśmy się Starą Warszawą naszą mogli przed obcymi chwalić i naocznie ich przekonywać o kulturze życia, jakie tu od pięciu, sześciu wieków wrzało.

Jakby przez czarodziejski pryzmat, w świetle nieznanych blasków i kolorów, patrzy się na Starą Warszawę po przez te malowidła Canaletta, Vogla, Gryglewskiego, przez tysiące tych planów, perspektyw, widoków, nagromadzonych tu w olejnych płótnach, gwaszach, akwarelach, drzeworytach, stalorytach, miedziorytach, w oprawie

Sztuki, której ambicjami nasyceni byli nietylko rzadcy *wybrańcy bogów,* ale i najskromniejsi rzemieślnicy, zjednoczeni w cechowe organizacje.

Zgromadzono tu tysiące przedmiotów, które do duszy polskiej przemawiają jakimś syrenim prawdziwie chórem, nęcących nas obrazami tego coby było, gdyby los nie znęcał się nad nami tak nielitościwie. Tysiące przedmiotów, którym czas dał już piętno wartości swojej, choćby przez to, że zniszczył to życie, jakie odtworzone widzimy na jakimś, naiwną ręką namalowanym obrazku. I w ten sposób drogą nam dziś stało się np. płócienko przedstawiające *słynną kawiarnię Honoratki na Miodowej ulicy*, której opis zostawił nam Wójcicki, choć współczesny epoce artysta na to płócienko patrzyłby ze wzgardą.

A przecież zgromadzono w salach ratuszowych jedynie ułamek tego, co umiano ocalić. I w tak świeżej pamięci stojące wystawy prac Norblina i Marcina Zaleskiego, jakie widzieliśmy w 1908 i w 1909 roku w Pałacu sztuki, były także w niemałej mierze *pamiątkami starej Warszawy.*

Gdyby to wszystko nagromadzić w jednem narodowem muzeum, w monumentalnym gmachu, postawionym w środku Warszawy!!

„Ah! wy słodko tu marzycie!“

Istotnie do dziwnych marzeń kołysze duszę polską wystawa Starej Warszawy.

Po ocknięciu się do jawy przychodzi jednak myśl inna, — myśl z drugiego krańca: jak to się stało, że po tylu gromach i tylu pogromach tyle z przeszłości naszej jeszcze ocalało?

Po łupach i konfiskatach!! Po tem co zmarnowało niedołęstwo i ignorancja? Po tem co wywieźli drapieżni handlarze rzeczy starych, niby myśliwi polujący na naiwnych sprzedawców?

Umiejętni archeologowie będą prawnukom naszym opowiadać o tem historje, nieraz bardzo dziwne. Dziś uważajmy to za łaskę losu jeszcze iż rodzinom Krasińskich, Raczyńskich, Przeździeckich, rękom Strzałeckiego, Kraushara, Soubise-Eiziera, Patka, Wildera, udało się ocalić tyle pamiątek — tyle świadectw naszego kulturalnego życia.

Prasa podobnie jak puliczność, zaskoczona nowem dla siebie zjawiskiem, potrzebowała czasu żeby zorjentować się w znaczeniu, bogactwie, głębi i doniosłości tego co jej przedstawiono tym razem. Warszawa książęca, Warszawa patrycjatu staromiejskiego, Warszawa króla Zygmunta, Warszawa Sasów, Warszawa Poniatowskiego, Warszawa 3. Maja, Warszawa jako stolica Prus południowych, Warszawa Księstwa Warszawskiego, — napoleońska, Warszawa Królestwa Kongresowego?!

W mieście takiem, jak nasze, gdzie samo Towarzystwo Opieki Nad Zabytkami istnieje dopiero od czterech lat, i gdzie ludziom należy pokazywać sylaby na elementarzu archeologicznym, jest to zaledwie wystarczające — na pierwsze wrażenie.

Krótkość wystawy Starej Warszawy był to jedyny zresztą błąd komitetu. Zebrane okazy w poważnej bardzo ilości, ułożone zostały we wzorowym porządku systematycznym. Przez sam układ swój dają one szereg lekcyj widzowi, który chce się czegoś na wystawie nauczyć i wart jest tego. Dydaktycznego dzieła dopełnia zresztą wydawnictwo Towarzystwa O. N. Z. „Stara Warszawa“, które jest więcej niż pamiątką po wystawie, bo jej prawdziwym pomnikiem. Jest to rodzaj usystematyzowanego katalogu, z treściwemi historycznemi i artystycznemi informacjami, umiejętną ręką ułożonemi, i ozdobiony szeregiem doskonałych ilustracji, łączących w księdze tej to wszystko, co dawała nam jako *clous*

Ta cenna księga pozostaje nam na pociechę po wystawie, urządzonej z nadmiarem psychologicznego efektu, dającego nam:

„Tem milsze, im krótsze rozkosze!“...

KASZUBI.

Wystawa kaszubska w Kościerzynie, rosnące coraz bardziej, zwłaszcza w Królestwie zainteresowanie się morzem polskiem, mnoga bibliografja wydawnictw o Kaszubach w języku kaszubskim, polskim, niemieckim, rosyjskim, dra Majkowskiego kaszubskie czasopismo „Gryf“ — wszystko to objawy bardzo pocieszające, które świadczą, że w obecnych czasach nic już, co się polskiego ostało, nie może uledz niszczącemu zalewowi germańskiemu.

I Kaszubi nie legną na wielkiem cmentarzysku ludów słowiańskich, jakiem są całe Prusy i wielka część Niemiec.

Piękną, wakacyjną wędrówkę po brzegu polskiego morza stanowi numer organu Tow. krajoznawczego „Ziemi“ warszawskiej. W nim uchwycono tak samo szmer fal Bałtyku o piaszczyste wybrzeża, jak i huk spienionych bezsilnie bałwanów zalewu niemieckiego, które rozbijają się o twardy, nieugięty opór ludu kaszubskiego.

Białe kartki rozlecą się wszędy po ziemi polskiej i rozniosą może ten niewysłowiony urok smętnego zakątka ziemi polskiej, rzuconego nad brzeg morski, „cichy, szary, prawie bez wiosny, o krasnem, późnem lecie i słonecznej, późnej jesieni“.

P. Bernard Chrzanowski związał go pięknie z całą Polską tych Polan przy pługu, nad morzem i na morzu przy żaglu, przybliżył aż w strony sandomierskie, krakowskie, do samego Podhala...

„Orzemy pługiem w tych wsiach nadmorskich, jak na równinach mazowieckich i zapuszczamy sieci, jak na jeziorach wielkopolskich. Toż samo tutaj, co u nas w kraju. Przyjedzie kto z Sandomierskiego do Oksywia, a tu żniwiarze tak jak tam wiążą i tak go pozdrawiają. Słyszy kto gdzieś za Puckiem, pod Strzelinem piosenkę, a słowa jej takie, jak na Kuja-

wach, czy na Mazowszu, tylko melodja smutniejsza i tęskniejsza.

Idzie kto gdzie dalej w głąb kraju, do Mechowy, a tu chaty białe jak w Krakowskiem na pochyłości pagórka nad strumieniem wśród sadów przysiadły. A dalej jeszcze na międzymorzu helskiem stoją wśród głębokich piasków i karłowatych sosen, chaty, jak gdyby na kamienistem Podhalu, pod smukłemi smerekami, całe z drzewa, z załamanymi w szczycie dachami.

Z tem wszystkiem kwestja kaszubska jest jeszcze nawet naukowo nie zamknięta. Przyszłość Kaszubów leży w ruchu młodokaszubskim, który w dniach dzisiejszych powstał jako wyraz dążeń rodzimej inteligencji kaszubskiej. Zwolennicy tegoż ruchu uznają się za szczep, jeden z wielu wielkiego narodu polskiego, uznają wspólność kulturalną i historyczną z Polską. Widzą atoli jedyne ocalenie kresów pomorskich w silnem akcentowaniu właściwości szczepowych, nie zaś w ignorowaniu ich. Niebezpieczny szkopuł dla wspólnej drogi z narodem polskim, wynikający z uznania przez naukę języka kaszubskiego za język odrębny od polskiego, młodokaszubi usunęli od razu z drogi, stawiając sprawę wspólności z Polską na gruncie tradycji historycznej i wspólności kościelnej, a sporowi językowemu nadając znaczenie czysto teoretyczno-naukowe.

I oto dzieje się rzecz nadzwyczajna. Pod naciskiem ataku, wykonywanego z legendarną „furją teutońską“ te ginące 140.000 drobnego szczepu uginają się dosłownie. Tracą język, tracą wszystkie cechy zewnętrzne, odróżniające go od innych. Dziś chłop, czy drobnomieszczanin chodzi ubrany, jak zwykły proletarjusz miejski, mieszka we wsiach, które na gwałt otrząsają się z resztek swojej kaszubskości i stają się niemożliwe, do obrzydliwości banalne, wyzbywa się jego zdobnictwa, które zresztą nigdy tu, w tych zapadłych pustkach nie wznosiło się na wyższe poziomy, wstydzi się swej gwary i pozornie udaje Niemca.

Z drugiej strony podpiera go agitacja „wielkopolska“ to jest czterech czy pięciu ludzi, którzy go namawiają, by został sobą i jako odpowiedź, jako wynik, powstaje ruch młodokaszubski, wspaniały rozwój banków i towarzystw, szerząca się samorzutnie, jak ogień, oświata polska.

Że to wszystko jest sprawą ostatnich kilku lat, ostatnich niemal miesięcy, więc górą widać stronę dotychczas mocniejszą, stronę nacierającą. Bo, co się rodzi, co odżywa, co krzepnie, jest u spodu, kiełkuje, rozsadza pomału warstwę pokostu, którą je nakryto. Zresztą, to są w ogóle tezy, które się mniej uwydatniają i mniej afiszują — powiedzmy. To jest jeszcze bieda, niekiedy wręcz prostactwo...

Ale najistotniejszą treścią i podłożem jest tu nie co innego, jeno polskość, jeno kaszubskość. Wszystko inne jest tylko nalotem.

OFIARNOŚĆ GALICYJSKA.

Zabór galicyjski, pomijając jednostki i grupy, nigdy nie był zanadto skorym do czynu orężnego, ale natomiast gotów był zawsze do ofiar i poświęcenia, do roboty spiskowej i organizacyjnej. To też w walce niepodległościowej brała Galicja udział więcej pośredni, posiłkowy i taką też rolę wyznaczał jej każdoczesny prawie rząd narodowy. Wychodziły tedy na pole walki oddziały ochotnicze z Galicji, ranni znajdowali w dworach szlacheckich i w miastach mniej lub więcej bezpieczne schronienie, a tak samo niedobitki, zbiegowie, ci „co lękliwe nieśli za granicę głowy“. Społeczeństwo galicyjskie, chociaż samo biedne i wyczerpane, niosło ostatni nieraz grosz na poparcie powstania tak Kościuszkowskiego, jak listopadowego, jak wreszcie styczniowego.

Jeden taki, drobny okruch tej ofiarności na cele narodowe w czasie powstania listopadowego, wpadł nam w ręce. Jest to lista składkowa szlachty obwodu stanisławowskiego, na którą mąż zaufania tejże szlachty Andrzej Przybysławski, jako delegat ogólnego galicyjskiego komitetu zbierał ofiary na rzecz powstania listopadowego. Lista, znajdująca się obecnie w posiadaniu wnuka Andrzeja, p. Kazimierza Przybysławskiego i przez niego nam łaskawie do użytku udzielona, jest mimo suchego swojego i sumarycznego charakteru, bardzo ciekawym przyczynkiem do dziejów czasu swojego i ludzi, i dlatego zasługuje na to, ażeby z niej kilka przytoczyć urywków.

Trzeci dziesiątek lat ubiegłego stulecia był okresem wielkiego zubożenia społeczeństwa galicyjskiego, które nie mogło się podnieść po ciosach, jakie mu zadała rabunkowa gospodarka skarbu austrjackiego w czasie i po wojnach napoleońskich. Z tej też przyczyny stosunkowo bardzo mało gotówki szło z obwodu stanisławowskiego na cele popierania wojny narodowej, a natomiast same prawie biżuterje i przedmioty zbytku, jak łańcuchy, pierścienie, ślubne obrączki, srebrne zwierciadła, kolczyki i t. p. Julia z Golejewskich Przybysławska oddała dwie ślubne obrączki i ramy srebrne ze zwierciadłem, Romaszkanowa kolczyki i krzyżyk złoty, imbryk srebrny, koszyk, z Czechowiczów Chlebkiewiczowa parę ślubnych pierścieni, pieczęć złotą, tacę i dwa srebrne półmiski, z Szydłowskich Golejewska fermoar brylantowy i srebra łutów 58, z Rozwadowskich Czechowiczowa srebra łutów 318, z Mielżyńskich Dzieduszycka perły z fermoarem brylantowym, sześć bransoletek, grzebień, kolczyki, kolię, klamrę, wszystko ze złota z kamieniami, panna Wincenta Wyszyńska złotą „lorynetkę“ i złoty medalion, cztery pierścionków i krzyżyk i t. d.

Trudno by wymieniać wszystkie pozycje, na które składały się tak „numizmaty“ złote, jak cukierniczki, imbryki, lichtarze, pudełka z toalety, chochle, miednice, kubki, „pierścionek z Pą-

nem Jezusem“ — wspomnieć jednak należy o Bieńkowskiej z Horodyskich, którą na cele powstania oddała chyba całą swoją zastawę stołową, składającą się z dwu półmisków wyzłacanych, dwu waz z nakrywami, czteru półmisków mniejszych i jednego podługowatego, dalej z dwu imbryków, tacy, czteru lichtarzy w perły, dwunastu trzonków i dwunastu łyżek, co wszystko razem ważyło 71 funtów i 24 łutów.

Gotówką najwięcej wypłacił Czarkowski, bo rubli 150, dukatów 150 i „ryńskich konwencyjną monetą 240“, Jan Golejewski „dla Henryka Golejewskiego, gdyby zaś nieżył, dla ogółu dukatów 50“, Albert Dzierzkowski 100 ryńskich, Sabina Dzierzkowska 200, Oczosalska 200, Antoni Romaszkan 100 dukatów i t. d.

Osobny dział składkowy stanowiły bandaże i szarpie... a wreszcie konie, których Marja z Golejewskich Czarkowska ofiarowała cztery, Julia Przybysławska dwa, Józef Milewski dwa i t. d.

Cyfry te dają w przybliżeniu obraz publicznej ofiarności na cele powstania listopadowego, w jednym obwodzie, gdyby zaś znalazły się podobne konsygnacje i innych także obwodów, możnaby obliczyć na ich podstawie pieniężny udział całej Galicji w powstaniu.

MARKJAN SZASZKIEWICZ.

Sto lat już mija, odkąd światło dzienne ujrzał jeden z większych poetów narodu ruskiego, Markjan Szaszkiewicz.

Rusini postanowili uroczyście obchodzić setną rocznicę jego urodzin. Czem był Szaszkiewicz dla Rusinów, czem był na Rusi Czerwonej, o tem najlepiej powie jego żywot i działalność literacka.

Markjan Szaszkiewicz urodził się w roku 1811 we wsi Podlesie w powiecie Złoczowskim. Ojciec jego, Semen, był księdzem w Kniażu, lecz mały Markjan najczęściej przebywał w swej wiosce rodzinnej u dziadka, który zajął się jego wychowaniem.

W szkołach uczył się Markjan dobrze i miał mir między kolegami dla swej uprzejmości i rozumu.

Tam to, na tych ławach szkolnych począł pierwsze stawiać kroki na polu literackiem. Pisał wiersze po polsku, bo nieznał dobrze języka ojczystego, którego w szkołach nie uczono.

Po ukończeniu gimnazjum w Brzeżanach, które podówczas miało 6 klas, wstąpił Markjan do duchownego seminarjum we Lwowie, gdzie uczęszczał na t. zw. filozofię, zawierającą teraźniejszą 7 i 8 klasę. Po skończeniu filozofji słuchali seminarzyści przez cztery lata teologji.

Niedługo jednak bawił Markjan w seminarjum, gdyż z powodu nieznacznego uchybienia musiał je opuścić.

Nastał teraz smutny czas dla młodego poety. Ojciec odmówił mu wsparcia, a zdrowie słabe nie dopisywało przy ciężkiej i mozolnej walce o kawałek chleba.

Od młodości już okazywał wielki pociąg do książek, to też w czasie pobytu swego we Lwowie zatopił się cały w dziełach różnego rodzaju, a miał ich dosyć, bo dostarczała mu ich biblioteka uniwersytecka i Ossolińskich. Ze szczególnem zamiłowaniem studjował Szaszkiewicz Słowiańszczyznę. Poznał też dokładnie literaturę łacińską, niemiecką i polską, a pracę w tym kierunku ułatwili mu znajomi, przedewszystkiem Tadeusz Wasilewski i Wacław Zaleski.

Poznawszy literaturę obcą poczuł Marjan gorącą chęć zaznajomienia się z literaturą ruską. Przypadek zdarzył, że dostała mu się w ręce książka p. t.: „Gramatyka ukraińskiej mowy“ Pawłowskiego, dostał też „Zbiór ukraińskich utworów“ Maksymowicza i „Enejdę“ Kotlarewskiego. Te dwie książki rozbudziły w nim ducha narodowego. Uniesiony zapałem postanowił Szaszkiewicz pracować na polu literatury ruskiej i temu zadaniu pozostał wiernym do śmierci.

Począł tedy jeździć, zbierać, studjować pieśni i legendy ludowe.

Ażeby i innych do tej pracy wciągnąć, zakłada Markjan w roku 1832 Towarzystwo przezwane „ruską trójcą“, gdyż początkowo składało się z niego, Hołowackiego i Wasilewicza. Niedługo jednak pracował w tem kółku, bo śmierć ojca na inne tory skierowała jego działalność. Musiał teraz Markjan starać się o swoją rodzinę i niestety coraz to bardziej zapadał na zdrowiu.

Za pośrednictwem znajomych został przyjęty wreszcie do seminarjum i tam na dzień imienin cesarza napisał odę p. t. „Głos Haliczan“. Był to pierwszy utwór napisany po rusku, to też wzbudził wielkie zainteresowanie. Zachęcony tak dobrym początkiem wygłosił Markjan tego roku w seminarjum wśród licznego grona słuchaczów pierwszą w języku ruskim mowę. Odtąd datuje się przemawianie w cerkwi po rusku, a nie jak dotychczas, po polsku. Nie ustając dalej w pracy, postanowił Szaszkiewicz wydawać czasopismo, by módz na szersze koła działać, nie otrzymał jednak na to pozwolenia, jak również nie pozwolono mu wydać zbiorku poezji. Wrogo bowiem usposobieni byli na ten odruch ducha narodowego nie tylko sami nawet Rusini, ale szczególnie rząd, który zaczął śledzić Markjana jako niebezpiecznego obywatela i nakazał w jego mieszkaniu przeprowadzić rewizję. Szaszkiewicz widząc, jak niemożliwe będzie wydanie poezji w Galicji, udał się na Węgry i tam wreszcie pod nazwą „Rusałka Dniestrowa“ wyszły one w roku 1837. Przysłanych jednak 900 egzemplarzy „Rusałki“ skonfiskował rząd galicyjski i dopiero przez Wiedeń dostały się niektóre do Galicji.

Przed święceniami kapłańskiemi ożenił się za radą matki, a następnie był jednym z najgorliwszych duszpasterzy, za co też wszędzie lubiany

go i podziwiano. Życie nie upływało mu jednak w słodyczach, gdyż słaby na zdrowiu kapłan nie mógł pracować na roli, ale za to pracował na polu naukowem i wczytywał się w literaturę ukraińską, czytał twory Artymowskiego, Kwitki Hrebinkę, Kulisza i Szewczenki. Umarł w r. 1843 pozostawiając syna Włodzimierza, który później odznaczył się jako poeta liryczny.

Pierwszym płodem działalności Markjana była „Rusałka Dniestrowa“, wydana na Węgrzech w r. 1837. Była to pierwsza ruska książka w Galicji i przez nią rozbudził Szaszkiewicz w halickich Rusinach ducha narodowego. Pisał też dumki pełne uczucia, prostoty i rzewności.

Oprócz dumek nosił się z zamiarem napisania epicznego poematu p. t. „Perekińczyk bisurmański“. Bohaterem tego poematu miał być Wacław Rzewuski. Celem tego poematu było przedstawienie ówczesnych stosunków na Rusi, niestety jednak posiadamy tylko małą część z zamierzonego poematu p. t. „Bandurzysta“, w którym przedstawia poeta ukraińskiego śpiewaka.

Napisał też prozą piękną powieść p t. „Ołena“ i psalmy, w których z wielką prostotą przebija się gorąca wiara. Dowodem też tej żywej wiary jest przekład całej ewangelji św. Jana i część ewangelji św. Mateusza.

Oprócz tego przełożył Szaszkiewicz kilka poematów czeskich i kilka pieśni serbskich, część utworu Goszczyńskiego p. t. „Zamek Kaniowski“, a także cały poemat staroruski p. t. „Słowo o pułku Igora“. Niestety jednak z tego ostatniego utworu zachowała się nam tylko część p. t. „Płacz Jarosławiczów“.

Dbał też Szaszkiewicz o oświatę, a widząc brak podręczników szkolnych w ruskim języku, napisał „Czytankę“, która wyszła w dwóch wydaniach po jego śmierci, a prócz tego monografję o Kozaczyźnie i Siczy. Zaczął też zbierać materjały do rozprawy o zyskaniu Słowian dla chrzecijaństwa, tej pracy jednak nie skończył, a początek jej uległ zniszczeniu.

S. M.

WŚRÓD STAROŻYTNIKÓW.

MECENAS EMANUEL KROCH.

Pomimo starokawalerstwa i nieodłącznej z niem pedanterji, jest dr. Kroch wcale niezrównoważonym i nieuporządkowanym zbieraczem. Bogaty jego i ciekawy zbiór rycin znajduje się wciąż jeszcze w stanie pogmatwanego chaosu, a sam jego właściciel chodzi luzem wśród lwowskich zbieraczy. Ma swoje własne źródła nabytków i swoje własne stosunki antykwarskie. Stąd nie widać go ani u Igla, lub Tomasika, nic nie wie dr. Kroch o egzystencji p. Włodzimierza Tomanka, nie zagląda wieczorami ani do Tuleji, ani do kawiarenki, która jest siedzibą hyen starożytniczych. Zdecydowany wreszcie wróg rodzaju niewieściego trzyma się dr. Kroch, z iście starokawalerską stałością, zdala od wszelkich zbiorów, których właścicielem była by... niewiasta.

I dlatego wszystkiego na lwowskim gruncie starożytniczym jest dr. Kroch figurą oryginalną, zupełnie odrębnego od innych, a własnego pokroju. Ma swój własny zakres i własne upodobania, nie daje się suggestjonować snobizmowi kolekcjonerów, goniących za rzadkością i osobliwością, niema wreszcie ambicji stworzenia pierwszorzędnej kolekcji. Zbiera to, co w danym wypadku najlepiej odpowiada jego nastrojowi duchowemu, co go w danej chwili najbardziej interesuje, a zbiera przy odgłosie maszyny pisarskiej, wypukującej rozmaite pozwy i awizacje w jego kancelarji adwokackiej, między jednym a drugim terminem sądowym, wśród konferencji ze stronami i własnym koncypientem. Stąd trudno nawet nazwać dra Krocha zbieraczem. Jestto raczej człowiek światły, który po za swoimi zawodowymi obowiązkami, zajmuje się bezpretensjonalnie i bezinteresownie pewnymi zagadnieniami z dziedziny sztuki i historji i te zagadnienia uzmysławia sobie przy pomocy zbierania odnośnych okazów w naturze.

Zajmuje się tedy mecenas w pierwszym rzędzie karykaturą, jako rodzajem sztuki i w bibliotece swojej zgromadził dużą literaturę, traktującą specjalnie o karykaturze, dużo odnośnych wydawnictw ilustrowanych, zwłaszcza niemieckich. Po zatem dzieje kultury i sztuki międzynarodowej posiadają w nim zamiłowanego badacza, świadomego zawsze najnowszych kierunków artystycznych i obznajmionego dokładnie z ruchem bieżącym na tem polu i literaturą.

W tem ogólnem zainteresowaniu się sprawami sztuki, specjalnością dra Krocha jest sztycharstwo, względnie różnorodna jego technika. W tym też zakresie wyrobił on sobie głębokie znawstwo i umiłowanie i tutaj też oprócz literatury teoretycznej zgromadził najwięcej okazów. Nie ograniczając się wyłącznie na rzeczach polskich, które zresztą wobec miejscowego wielkiego pokupu, uważa dr. Kroch za zbyt wielki i kosztowny zbytek, gromadzi on w sposób nieledwie masowy sztychy zagraniczne, każdej maniery i techniki. Zbiór sztychów jego liczy kilka tysięcy numerów, niedostatecznie jeszcze co prawda uporządkowych i ugrupowanych, według swojej wartości i kierunków, ale w tej liczbie znajdują się rzeczy prześliczne, pierwszorzędnej wartości artystycznej, rzadkie, cenne, poszukiwane, na targach zagranicznych przepłacane itd. Duża część rzeczy wymienionych u Naglera chroni się w tym zbiorze, dla dziejów międzynarodowego sztycharstwa istotnie bardzo cennym, zawierającym bezlik rzeczy ciekawych i pierwszorzędnych nazwisk sztycharzy, drzeworytników, akwaforcistów, rytujących manierą czarną, litografów, aż do dzisiejszej heliograwury,

Niestety jednak, jak to już wyżej wspomnieliśmy, zbiór nie jest uporządkowany, a skutkiem tego wśród rzeczy prawie bezwartościowych, spoczywają w prawdziwie kawalerskim nieładzie pierwszorzędne cimelia, mogące być ozdobą każdego wielkiego zbioru. Rzeczy polskich tutaj stosunkowo nie wiele, ale zawsze znalazłoby się wiele rzeczy ciekawych, zwłaszcza z pierwszego okresu litografii.

Osobny dział w zbiorze dra Krocha stanowią wydawnictwa ilustrowane włoskie, francuskie, niemieckie i t. d. przeważnie z epoki największego rozkwitu sztycharstwa, to jest z drugiej połowy ośmnastego wieku.

Po za sztuką i grafiką zajmuje się dr. Kroch ponadto historją w ogólności a literaturą niemiecką starszą w szczególności. Dział ten jest również bogato reprezentowany w bibliotece jego i obfituje w dzieła niejednokrotnie cenne.

Rozległy zakres studjów, dokonywanych zresztą po za obowiązkami zawodowymi i studjami prawniczymi, nadaje zbiorom dra Krocha charakteru do pewnego stopnia dyletanckiego, amatorskiego. Ale i ten dyletantyzm, tak jak on go pojmuje, jest jakby rozległą falą światła, które jasnem pada promieniem na ciche i zamknięte życie, wypełniając w niem wszystkie pustki, doznane może zawody życiowe, okraszając codzienną szarzyznę obcowaniem z tem co piękne, wielkie i nieśmiertelne. Z tego punktu widzenia jednostka taka jak dr. Kroch i zbiór jego stają się wartościami dodatniemi nawet w szerszem, społecznem tego słowa znaczeniu.

Fr. Jaw.

Kinematograf a ludoznawstwo.

Rozwój kinematografu i ogromne zadowolenie, jakie znajduje najszersza publiczność w widowiskach kinematograficznych, zwróciły uwagę na potrzebę przedewszystkiem kontroli tego rodzaju przedstawień, a następnie na możność zastosowania tego doniosłego wynalazku do badań naukowych a w szczególności etnograficznych. Kinematograf bowiem, połączony do tego z fonografem mógłby odtworzyć i utrwalić wiele zanikających objawów życia ludowego, zwyczajów, strojów, sposobów pracy itp.

U nas niestety służy kinematograf do celów nie wybrednej rozrywki, a równocześnie, coraz częściej dają się słyszeć uwagi i utyskiwania, najzupełniej zresztą słuszne, ze strony poważniejszej części naszego społeczeństwa na fatalny poziom ogółu przedstawień kinematograficznych, któremi tak hojnie darzą publiczność naszą wszelkiego rodzaju Iluziony.

A jednak, ten sam kinematograf, który obecnie uprawianiem po większej części taniego efekciarstwa i sensacji, zamiast kształcić i rozwijać, deprawuje smak i umysły szerszych mas, a szczególniej młodzieży — mógłby oddać rzetelne usługi kulturalne w zakresie nauczania poglądowego, tego najdostępniejszego dla umysłu i najłatwiej przyswajanego typu kształcenia. Szczególniej poznanie rozmaitych okolic kraju własnego i krajów obcych, flory i fauny, a także poznanie życia i zajęć rożnorodnych ludów zyskałoby niezmiernie na tego rodzaju obrazkowem uzupełnieniu. Wprawdzie niektóre zakłady kinematograficzne uwzględniają częściowo obrazy tego typu, stanowią one jednak zaledwie drobną część programu melodramatyczno-komicznego i giną wprost w powodzi rozmaitych historji a la Sherlock-Holmes lub Nick-Carters.

O ileby u nas powstał kinematograf o programie wyłącznie kształcącym, czerpiącym treść swych obrazów z dziedziny geografji i etnografji i systematyzujący pokazy według pewnego planu w ten sposób, by każde przedstawienie stanowiło całość w sobie zamkniętą, czyli cykl obrazów, wiążących się ze sobą i dających pojęcie o całokształcie odtwarzanego środowiska, poczynając cd krajobrazu, a kończąc na mieszkańcach, — kinematograf taki mógłby niewątpliwie liczyć na rzetelne powodzenie materjalne, spełniając zarazem rolę wybitnej placówki kulturalnej.

Główny szkopuł i przeszkodę w zastosowaniu kinematografu do badań etnograficznych u nas na miejscu, stanowi brak fabryk i przedsiębiorstw wyrabiających filmy kinematograficzne. Skutkiem tego, wszystkie teatry tego rodzaju skazane są na produkcje zagraniczne, zaopatrzone nawet francuskimi czy niemieckimi napisami. W ten sposób młodzież nasza, bo ona dostarcza głównego kontyngentu widzów, przypatruje się różnym dziwactwom i pomysłom spekulantów, obliczonych na tani efekt i ordynarną sensację.

Niedawno powstała w Warszawie pierwsza polska fabryka film kinematograficznych, ale i ta działalność swoją rozpoczęła od ilustrowania w żywych obrazach Żeromskiego „Dziejów grzechu". Przypuszczać jednak należy, zwłaszcza wobec wzmożonego ruchu krajoznawczego w Królestwie, że fabryka ta dostarczy miejscowym teatrom iluzyjnym dość materjału krajoznawczego i ludoznawczego, który oprócz chwilowej rozrywki, mieć będzie także wartość naukową. Wartość ta zaś zależy przedewszystkiem od doboru zdjęć i takiego ich ugrupowania, aby stanowiły dla siebie całość zamkniętą, umiejętnie dostosowaną, chwytającą życie ludowe, w jego najbardziej charakterystycznych przejawach.

Młodzież lubi czytać podróże; odrębność środowisk nowych, nieznanych pociąga ją i zajmuje; rzecz więc prosta, że niemniej interesujące byłyby dla niej szeregi obrazów, kreślonych nie piórem, lecz przedstawionych plastycznie, chwytanych bezpośrednio z rzeczywistości.

Co się tyczy trudności i kosztu zdobycia zdjęć podobnych, to nie byłyby one większe, niż

przy specjalnem inscenizowaniu fikcyjnych melodramatów lub arcy-złożonych, iście akrobatycznych pantomin farsowych.

Za granicą znajduje już kinematograf zastosowanie w etnologji. W jednym z ostatnich numerów wydawnictwa naukowego p. t. „Zeitschrift für Ethnologie“ znajduje się referat badacza niemieckiego dra Neuhassa, który podczas dwuletniego pobytu w Nowej-Gwinei niemieckiej, zdołał zgromadzić oprócz ciekawych zbiorów w przedmiotach, niezmiernie cenną kolekcję zdjęć kinematograficznych, dających doskonałe wyobrażenie o trybie życia Papuów.

O ile jednak trudności przy zdjęciach kinematograficznych są większe i trudniejsze do pokonania, o tyle fonograf mógłby istotnie oddać z niewielkim zachodem ważne usługi folklorowi polskiemu przy zbieraniu melodji ludowych. Próby w tym kierunku czyniono już niejednokrotnie, ale nie przybrały one, ani większych rozmiarów, ani nie prowadzone były systematycznie.

I w tym też kierunku ścieli się naszym towarzystwom ludoznawczym i krajoznawczym wdzięczne pole do działania i inicjatywy.

SZTUKA.

Zapowiedziane kilkakrotnie czasopismo dra Tadeusza Rutowskiego „Sztuka“ ujrzało wreszcie światło dzienne. Sam fakt wydawnictwa na wielką skalę, poświęconego sztuce, wywołał we Lwowie dużą sensację, a pierwszy numer, a raczej albumowy zeszyt „Sztuki“ wywoła niewątpliwie szerszą dyskusję. Nam chodzi jednakowoż w tej chwili o skonstatowanie samego faktu i o pierwsze wrażenie, po przelotnem obejrzeniu numeru.

Fakt we Lwowie trochę zdumiewający. Żeby wszystkie prawie lwowskie instytucje kulturalne, szereg towarzystw, muzea, galerja miejska etc. pogodzić się mogły i uznać, że jedno pismo może być ich wszystkich wspólnym organem — tegośmy jeszcze nie widzieli. Sprawił to jednak dr. Rutowski skupiwszy dokoła „Sztuki“ Galerję narodową miasta Lwowa, Muzeum narodowe im. Króla Jana III, Muzeum przemysłu artystycznego, Towarzystwo sztuk pięknych, Koło architektów we Lwowie, Towarzystwo miłośników Lwowa, Towarzystwo upiększenia miasta Lwowa i okolicy, Towarzystwo miłośników fotografji artystycznej. Wszystkich ich będzie „Sztuka“ organem, wyrazem, trybuną i ogniskiem.

Ale toby jeszcze było za mało. „Nie spekulacja wydawnicza, ani kaprys literacki, czy artystyczny — powiada prospekt — ale coraz powszechniejsze poczucie potrzeby, która nakazuje nawet ofiarę, powołuje „Sztukę“ do życia. Potrzeba kulturalna i narodowa“.

„Potrzebny nam, niezbędny organ dla propagandy narodowej, kulturalnej pracy we Lwowie, organ dla wszystkich pokrewnych usiłowań na wschodnim krańcu... potrzebny dlatego, żeby przekonać, że ten Lwów ma stare instytucje i zbiory i w nich skarby, które służyły już i nie przestaną służyć narodowi całemu, a spełniły już posłannictwo swoje i uzbroiły generacje całe w rynsztunek, co pozwolił przetrwać przydługą dobę utraty, a były krynicą odrodzenia. Potrzebny dlatego, żeby wykazać, że nowe instytucje, któreśmy o własnych siłach w ciągu kilku lat stworzyli i nad których rozwojem pracujemy, nie są ani w założeniu, ani w dotychczasowych dorobkach chybione, a zawierają już skarby“.

Pierwszy numer odpowiada tak nakreślonemu programowi, doborem i bogactwem treści imponuje, pod względem zaś zewnętrznym jest — jak powiedziano — „nad stan“. Oryginalne prace i oryginalne ilustracje, niektóre barwne, dużo treści i rozmachu, zakres szeroki, oparty o przeszłość, a w przyszłość patrzący — oto pierwszy numer „Sztuki“ — wydawnictwa które obejmie sztukę i kulturę, malarstwo, rzeźbę i architekturę, sztukę dekoracyjną, przemysł artystystyczny, grafikę, fotografję artystyczną, pomniki i zabytki sztuki i kultury, muzea, zbiory publiczne i prywatne, rozwój miasta, regulację, ochronę piękna pomniki przyrody.

Istotnie wielkie zadania ma przed sobą „Sztuka“ a spełni je nie zawodnie przy poparciu społeczeństwa.

Sztuka wychodzić będzie raz na miesiąc, w objętości pięciu arkuszy druku. Naczelnym redaktorem jest dr. Tadeusz Rutowski, kierownikiem redakcji Jan Pietrzycki. Prace wybitnych lwowskich pisarzy wypełniły pierwszy numer, że wymienimy tylko Władysława Łozińskiego, Kazimierza Chłędowskiego, sam dr. Rutowski wystąpił z przyczynkami do dziejów twórczości Artura Grottgera, dr. Aleksander Czołowski pomieścił rzecz o celu i zadaniach Muzeum im. króla Jana III, dr. Stroner niezwykle ciekawą pracę o fajansach warszawskich.

Dział notatek wszechstronny, daje pełny obraz zdarzeń kulturalnych z ostatnich tygodni.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dr. Stanisław Kossowski. Listy Konstantego Gaszyńskiego do Lucjana Siemieńskiego. 1851—1866. Lwów 1911. Znany a sumienny badacz dziejów literatury polskiej wydał obecnie jako osobne odbicie ze sprawozdania gimnazjum żeńskiego im. Juljusza Słowackiego, zbiór listów Gaszyńskiego, pisanych w czternastoletnim okresie czasu do Siemieńskiego. Wydanie dokonane zostało z autografów, przechowywanych dziś ze spuścizny po Siemieńskim w archiwum Czartoryskich w Krakowie. Oprawne razem stanowią dziś małą książeczkę, zawierającą 27 autografów Gaszyńskiego.

Z tej to książeczki wysnuł autor obraz zupełnego stosunku Gaszyńskiego ze Siemieńskim, którzy poznali się ze sobą w Brukseli w r. 1847. W roku następnym 1848 Siemieński na podstawie amnestji wrócił do kraju, aby w kilka miesięcy później objąć redakcję »Czasu« — Gaszyński zaś był dalej wygnańcem, któremu wzbroniony był powrót do ojczyzny za udział w powstaniu listopadowem, wygnańcem, który przerzucając się z miejsca na miejsce złożył ostatecznie głowę pod gościnnem, lecz obcem niebem w Prowancji.

Losy ich rozłączyły, lecz złączyła przyjaźń, nie ujrzeli się nigdy więcej w życiu, ale list zastąpił im osobiste zetknięcie, stał się dokumentem przyjaźni, informatorem o stosunkach życiowych, powiernikiem planów literackich, wyrazem sądu i myśli literackiej — łączył przyjaciół, nie osłabiając siły samej przyjaźni.

Autor bardzo trafnie ocenia wartość listu literackiego w epoce romantycznej. »Był on — pisze — nie tylko odbiciem stosunku pisarza do bliskich sobie osób, był nie tylko środkiem porozumienia się i wyrazem poglądu na jakiś fakt literacki lub człowieka, ale był dziełem sztuki pisarskiej, która wymagała nie tylko troski o treść, ale i o formę listu, wykraczając znacznie po za ramy zwykłych wiadomości życiowych, stawał się list, dzięki umieszczonym w nim szczegółom, autobiografją pisarza i jego portretem duchowym — a wypełniając takie zadanie budował nową gałąź twórczości ludzkiej, nowe pole do popisu dla pisarza i artysty«...

Z tego stanowiska rzecz biorąc, jest niniejszy zbiorek bardzo ważnym przyczynkiem do epistolografji romantycznej polskiej, tembardziej, że dr. Kossowski zaopatrzył go wstępem, opartym na głębokiej znajomości ducha i czasu i całym krytycznym aparatem naukowym, który przynosi zaszczyt sumienności wydawcy.

NOTATKI.

Statystyka prasy polskiej. W roku 1903 śp. K. Heck w swym skrzętnie zebranym »Spisie perjodycznych pism polskich« (Kraków, 1904) doliczył się ogółem 570 czasopism polskich. Według świeżo ogłoszonego »Wykazu prasy polskiej« (Berlin, 1911), liczymy 639 pism polskich. Z nich przypada na Królestwo i Rosję 211, na Galicję 232, na Poznańskie i Niemcy 105, na Amerykę 90 i na Francję 1. Chmielowski zaś dla r. 1896 doliczył się wszyskiego 354 czasopism, z których przypadało na Galicję 177, na Poznańskie i Niemcy 63, na Królestwo i Cesarstwo 66, na resztę Europy 9 i na Amerykę 38. Zestawiając dane z r. 1911 z r. 1896, widzimy, że najszybszy wzrost dziennikarstwa poskiego (pod względem ilościowym) w ciągu ostatniego 15-lecia odbył się w Królestwie, następnie w Ameryce, dalej w Poznańskiem i wreszcie w Galicji.

Zwłaszcza zasługuje na uwagę rozrost w ostatnich latach prasy prowincjonalnej. Nie mamy już ani jednego większego miasta, gdzieby na straży interesów społeczeństwa miejscowego nie stał organ polski, a nawet kilka ich. Nadto mamy pisma polskie w Wilnie, Kijowie i Petersburgu.

Aczkolwiek w ostatnich czasach daje się zauważyć duży przypływ wydawnictw perjodycznych, jest on stosunkowo mniejszy, niż w innych krajach europejskich. Na 20-milionowy naród wszystkiego pism 639 jest to stosunkowo bardzo niewiele, zwłaszcza w porównaniu choćby z Czechami, którzy na 6 miljonów ludności posiadają przeszło 900 czasopism.

Z Ossolineum. Kuratorja Zakładu nar. im. Ossolińskich znalazła się wobec faktu, że przy normalnym wzroście bibljoteki, sama książnica wystarczyć może najwyżej na dwa lata. Jak wiadomo mieści się książnica Ossolińskich w starym, przerobionym w r. 1826 według planów generała Józefa Bema, kościele Dominikanek. Wobec braku miejsca w starym budynku, postanowiła Kuratorja ewentualnie rozszerzyć go przez dobudowanie drugiego piętra, albo też zbudować nowy pawilon. Celem przekonania się o wytrzymałości starych murów przeprowadza obecnie próby inż. Veltze skutkiem czego biblioteka była dla publiczności na kilka dni zamknięta. Od wyników prób zależy rozpoczęcie robót około rozszerzenia bibljoteki.

Brak miejsca w Zakładzie o ile sprawia kłopot pewien zarządowi, o tyle z drugiej strony jest pocieszającym objawem wielkiej żywotności lwowskiego Ossolineum i wzrostu jego zbiorów. Niestety jednak publiczność nie zajmuje się Zakładem tak, jak na to zasługuje ta instytucja narodowa, w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, której rozwój powinien być ambicją całego społeczeństwa i upustem dla jego ofiarności, za przykładem Nestora naszych pisarzy Antoniego Małeckiego.

Jakże jaskrawo od tej hojnej ofiary jednostki odbija ofiarność Sejmu, który na powiększenie bibljoteki dotuje corocznie wszystkiego... tysiąc koron.

Dokumenty polskie w Anglji. Prof. dr. Warschauer ogłosił w Mitteilungen der Königl. preus. Archiwverwaltung sprawozdanie o znajdujących się w Muzeum Brytańskiem w Londynie dokumentach polskich. Autor zaznacza na wstępie, że najwięcej dokumentów polskich znajduje się nie w British Muzeum lecz we właściwym archiwum rządowym Public Record Office, gdzie jest 18 tomów, dotyczących rzeczy polskich. Najstarszy autograf polski w Muzeum Brytańskiem pochodzi z wieku 14. Z tego samego czasu datuje »Transacta inter Angliam et Poloniam 1387.—1600«. Ciekawy ten rękopis, zawierający 300 stron, powstał, zdaje się, głównie w angielskiej kancelarji królewskiej i zawiera prawie same dokumenty z pierwszej ręki. Dotyczą one głównie traktatów handlowych prusko-angielskich przed bitwą pod Grunwaldem. Niejednokrotnie czerpano z niego, by uzupełnić historję Związku Hanzy. Dokumentem najkosztowniejszym jest jednakże pisana książka do nabożeństwa króla Zygmunta I., w której są też zanotowane daty urodzin i zaślubin dzieci królewskich. Dalej z czasów Stefana Batorego znajdują się oryginalne listy w sprawie utworzenia w Elblągu »angielskiego związku handlowego«. Jest list Jana Zamoyskiego do królowej Elżbiety, pisany w październiku roku 1593. Są też listy Zygmunta III. do królowej Elżbiety, polecające rozmaite osoby jej opiece. Bardzo zajmujący jest dokument, który zawiera deklarację Cromwell'a na korzyść dysydentów w Polsce.

Z czasów Jana Sobieskiego jest więcej rękopisów, niż z czasów panowania innych królów polskich, albowiem wnuczka Sobieskiego, jak wiadomo, poślubiła Jakóba III. Stuarta. Z czasów rozbioru mamy książkę napisaną przez Mitchella z kopją listów do władzy angielskiej. Są tam również dwa oryginalne listy Stanisława Poniatowskiego i Hobarta, ks. Buckingham, posła ówczesnego na dworze rosyjskim, który podaje bardzo smutną charakterystykę króla. Jest wreszcie oryginalny rękopis pamiętników Maurycego Beniowskiego (rok 1655., 56, 57. i 58). Ostatnim dokumentem jest dyskusja w Izbie lordów o sprawie polskiej w Poznańskiem z roku 1848.

Sprzedaż historycznego zamku. W Wiśniowcu pow. krzemienieckiego, dokonano w tych dniach sprzedaży historycznego zamku książąt Wiśniowieckich. Sam zamek nabył hr. Plater z Dąbrowny, kosztowne zaś bardzo artystycznej roboty bronzy, srebro, wazy z porcelany sewrskiej — dostały się w ręce cudzoziemców, przeważnie przeszły na własność słynnego Muzeum brytańskiego w Londynie. Dla ks. Westminsteru nabyto za 500 tys. franków cenne bardzo portrety ks. Jaremy, Adama i Michała Wiśniowieckich. Dwa obrazy nabyto do Austrji podobno dla ces. Franciszka Józefa. Ogółem sprzedano 123 obrazów polskich mistrzów, 17 rosyjskich i 60 zagranicznego pendzla. — Szczególną uwagę osób, przybyłych na licytację, zwracały galerje podziemne, w których podług podania, odbywały się schadzki samozwańca Dymitra z Maryną.

Z Drukarni Polskiej. Za redakcję odpowiedzialny Fr. Jaworski. Nakładem »Kurjera Lwowskiego«.